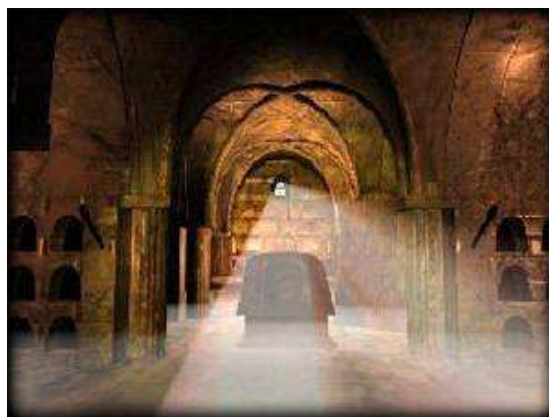


GROBOWIEC



Z uwagi na okoliczności, które doprowadziły do mego uwięzienia w tym przybytku dla obłąkanych, świadom jestem, że moja obecna pozycja może wytworzyć pewne wątpliwości co do prawdziwości tej opowieści. Tak to niestety jest, że większość ludzi ma zbyt ograniczony umysł, by cierpliwie i roztropnie rozważać owe szczególne fenomeny, postrzegane i wyczuwane jedynie przez garstkę posiadającą szczególną mentalną wrażliwość, a leżące poza zasięgiem powszechnie dostępnych doświadczeń. Ludzie o większym intelekcie wiedzą, że nie ma ostrego rozgraniczenia pomiędzy rzeczywistością i nierzeczywistością, że wszystkie rzeczy jawią się takie, jakie są, jedynie dzięki przymiotom wrażliwych, indywidualnych mediów psychofizycznych, i to dzięki nim zdolni jesteśmy je postrzegać, jednakowoż prozaiczny materializm większości określa pogardliwie mianem szaleństwa przebłąski nadpostrzegania, które przenikają pospolity woal jawnego empiryzmu.

Nazywam się Jervas Dudley i od wczesnego dzieciństwa byłem marzycielem i wizjonerem. Posiadając bogactwo wystarczające, by z nawiązką pokryć potrzeby dostatniego życia, i będąc obdarzony temperamentem, który nie pozwalał mi poświęcić się studiom i innego typu zainteresowaniom typowym dla moich rówieśników, zamieszkiwałem zwykle w krainach odległych od znanego nam widzialnego świata. Dzieciństwo i lata młodości spędziłem na lekturze prastarych i mało znanych ksiąg, przemierzając pola i zagajniki rozciągające się w pobliżu domu moich przodków. Nie sądzę, aby to, o czym czytałem w owych woluminach lub widziałem na polach czy w zagajnikach, było tym samym, o czym czytali lub co postrzegali inni chłopcy, na ten temat jednak wolałbym dużo nie mówić, gdyż dłuższa i dokładniejsza wypowiedź potwierdziłaby jedynie odrażające kalumnie na temat stanu mego zdrowia psychicznego, o którym szeptem rozmawiają niekiedy pielęgniarki, co niejednokrotnie udało mi się podsłuchać. Wystarczy, że przedstawię minione wydarzenia bez bliższego analizowania przyczyn.

Wspomniałem już, że mieszkałem z dala od widzialnego świata, niemniej nie rzekłem, iż mieszkałem samotnie. Nie jest do tego zdolna żadna żywa istota. Brak towarzystwa żyjących nieuchronnie sprowadza obecność istot, które nie są już lub nigdy nie były żyjącymi. Blisko mego domu znajduje się szczególna, porośnięta lasem kotlina, w której mrocznych ostępach spędzałem większość czasu, czytając, rozmyślając i śniąc. Tam właśnie, jeszcze jako dziecko, przywiodły mnie pierwsze kroki, bym przemierzał omszałe zbocza kotliny, a wśród groteskowo zdeformowanych dębów powstała osnowa moich pierwszych, dziecięcych fantazji. Poznałem driady zamieszkujące wśród owych drzew i niejednokrotnie widziałem ich dzikie tańce w blasku gasnącego księżyca - o tym jednak nie wolno mi teraz mówić. Opowiem wam jedynie o samotnym grobowcu, położonym w najmroczniejszym zakątku kotlinnej gęstwiny; opuszczonym grobowcu Hyde'ów, starej, egzaltowanej rodziny, której ostatni potomek złożony został w jego posępnych murach na wiele dekad przed moimi narodzinami.

Grobowiec, o którym mówię, wykonany jest ze starego granitu, zmurszały i odbarwiony przez mgły i wilgoć naruszające go od pokoleń. Wpuszczona w ścianę kotliny budowla z wyjątkiem wejścia jest prawie niewidoczna. Drzwi, ogromna, odrażająca płyta z kamienia wisi uchylona na zardzewiałych zawiasach, a zamknięcie jej stanowią złowieszcze, z wyglądu ciężkie, żelazne łańcuchy i kłódki, typowe atrybuty przybytków cmentarnych sprzed pół wieku.

Rezydencja rodu, którego potomkowie znaleźli spoczynek w tym grobowcu, a którego własnością była owa kotlina, padła ofiarą pożaru powstałego od uderzenia pioruna. O nocnej burzy, która zniszczyła do szczętu posępną posesję, starsi mieszkańcy tej okolicy mówią zazwyczaj pełnym niepokoju szeptem, powtarzając zgodnie opinię o "bożym gniewie" w taki sposób, że w miarę upływu czasu poczęła narastać we mnie fascynacja owym mrocznym, leśnym grobowcem.

W pożarze zginął jeden człowiek.

Kiedy ostatni z Hyde'ów został pochowany w tym miejscu cienia i spokoju, smężna urna z popiołami przybyła z odległego kraju, dokąd wyemigrowała rodzina po pożarze rezydencji. Nie pozostał nikt, by złożyć kwiaty przed granitowym portalem, i mało kto odważał się wnikać pomiędzy ponure cienie, które zdawały się zalegać wśród zawilgłych murów.

Nigdy nie zapomnę popołudnia, kiedy po raz pierwszy natknąłem się na tę wpół ukrytą siedzibę śmierci. Było to w środku lata, w czasie przesilenia, kiedy alchemia natury przemienia leśny krajobraz w żyjącą i niemal homogeniczną masę zieloności; kiedy zmysły nieomal dławia się od przenikającej powietrze wilgoci i różnorodności niemożliwych do rozpoznania zapachów ziemi i roślinności. W takim otoczeniu umysł zatracza perspektywę; czas i przestrzeń stają się trywialne i nierzeczywiste, echa prehistorycznej przeszłości nieodparcie atakują mocno skołowaciałą świadomość.

Przez cały dzień krążyłem pośród mistycznego zagajnika porastającego wnętrze kotliny. Rozmyślałem na tematy, których nie chcę tu obecnie poruszać, i rozmawiałem z istotami, których imion i nazw również nie wymienię. Mając dziesięć lat, słyszałem dużo więcej i widziałem dużo cudowniejsze rzeczy, aniżeli większość ludzi jest sobie w stanie wyobrazić. Należy również dodać, że pod wieloma względami byłem wyjątkowo dojrzały.

Kiedy przedzierając się pomiędzy dwiema okazałymi kępami jeżyn, natknąłem się na wejście do grobowca, nie miałem pojęcia, co właściwie odkryłem. Ciemne bloki granitu, drzwi tak osobiwie uchylone i nagrobne reliefy nad łukowatym wejściem nie wzbudziły we mnie odczuć w rodzaju żalu, współczucia czy zgrozy. Sporo wiedziałem i rozmyślałem na temat grobów i grobowców, niemniej chyba z uwagi na mój niezwykle temperament trzymałem się dotąd z dala od cmentarzy i kościołów. Osobliwy, kamienny dom na zboczu kotliny był dla mnie jedynie źródłem zainteresowania i przeróżnych spekulacji. Jego zimne i wilgotne wnętrze zaś, do którego na próżno usiłowałem zajrzeć przez pozostawioną kuszaco, lecz zbyt wąską szparę, nie kojarzyło mi się ani trochę ze śmiercią czy rozkładem. Wraz z zaciekawieniem zrodziło się we mnie szaleńcze i zgoła nieroztropne pragnienie, które doprowadziło do mego uwięzienia w tym piekielnym zakładzie. Idąc za głosem, który musiał pochodzić wprost z samej upiornej duszy kniei, postanowiłem wejść w zapraszającą ciemność, pomimo grubych łańcuchów, które zagradały mi drogę. W gasnącym świetle dnia, na przemian grzechotałem zardzewiałymi okowami, usiłując otworzyć na oścież kamienne odrzwia, i próbowałem precyzyjnie me szczupłe ciało przez już istniejącą szczelinę - niemniej bez powodzenia. Zaciekawienie wzrosło tymczasem do rozmiarów obsesji. Kiedy o zmierzchu powróciłem do domu, poprzysiągłem na setkę bóstw zagajnika, że za wszelką cenę dostanę się pewnego dnia do owego czarnego, chłodnego wnętrza, które najwyraźniej mnie przyzywało. Siwobrody lekarz, który każdego dnia przychodzi do mego pokoju, powiedział raz gościowi: "Decyzja owa była zaczątkiem żałosnej, ponurej monomanii", ja wszakże pozostawiam wydanie ostatecznego osądu mym czytelnikom, kiedy już dowiedzą się wszystkiego.

Kolejne miesiące po moim odkryciu poświęciłem na próżne usiłowania sforsowania skomplikowanej kłódki, broniącej dostępu w głąb lekko otwartego wejścia do grobowca, i ostrożne śledztwo, mające na celu poznanie natury i historii owej budowli. Jako mały chłopiec o czujnym słuchu, w krótkim czasie sporo się dowiedziałem, aczkolwiek wrodzone zamiłowanie do sekretności i tajemniczości sprawiło, że nie podzieliłem się z nikim informacjami o moim odkryciu ani przyczynach, dla których gromadziłem tę konkretną wiedzę. Być może warto nadmienić, że nie byłem ani trochę zdumiony czy przerażony, kiedy poznałem prawdziwą naturę grobowca. Moje raczej oryginalne przekonania dotyczące życia i śmierci sprawiły, że kojarzyłem zimną glinę z oddychającym ciałem w dość mglisty i niejasny sposób. Zdałem sobie sprawę, że wielki i złowrogi ród zamieszkujący ongiś w spalonej rezydencji musiał być w jakiś sposób obecny w kamiennej budowli, do której pragnąłem się dostać.

Plotki na temat osobliwych rytuałów i bezbożnych orgii, jakie przed laty odbywały się w starej posesji, wzbudziły we mnie całkiem nowe, nie znane dotąd zaciekawienie grobowcem, przed którego drzwiami przesiadywałem, co dnia całymi godzinami. Raz wrzuciłem do środka zapaloną świecę, ale nie zobaczyłem nic, z wyjątkiem prowadzących w dół, kamiennych schodów. Odór tego miejsca, pomimo że odrażający, oczarowywał mnie. Miałem wrażenie, że już go kiedyś czułem, w jakiejś odległej, kompletnie zapomnianej przeszłości, kiedy nie nosiłem jeszcze mej cielesnej powłoki.

Wiele lat po odkryciu przeze mnie grobowca, wśród licznych ksiązek napoddaszu mego domu, natknąłem się na nadzarty przez robactwo egzemplarz tłumaczenia Żywotów Plutarcha. Przeczytałem o życiu Tezeusza i wielkie wrażenie wywarł na mnie fragment o gigantycznym kamieniu, pod którym młodzieńcy bohater miał odnaleźć swoje symbole przeznaczenia, kiedy tylko będzie dostatecznie silny, by podźwignąć ogromny ciężar. Legenda ukoiliła me zniecierpliwienie i pragnienie wejścia do grobowca. zrozumiałem bowiem, że nie nadeszła jeszcze właściwa pora. Później rzekłem sobie, że gdy dojrzeję i nabiorę sił, wybiję godzina, kiedy będę w stanie uporać się z łatwością z odrzwiami zablokowanymi łańcuchem. Wtedy także łatwiej mi będzie dostosować się do tego, co wydawało się wolą losu.

Jednocześnie me czuwania przy zawilgłym portalu stały się mniej natarczywe i wiele czasu poświęcałem na inne, choć równie niezwykle poszukiwania. Czasami budziłem się w środku nocy, by wybrać się na przechadzkę na tereny przykościelne i cmentarne, od których rodzice usiłowali trzymać mnie z dala. Nie mogę powiedzieć, co tam robiłem, nie jestem bowiem pewny realności niektórych rzeczy; wiem jednak, że następnego dnia po każdej takiej nocnej wędrówce umysł mój przepelniała zdumiewająca wręcz wiedza związana z rzeczami zapomnianymi od wielu pokoleń. Po jednej z takich nocy zaszokowałem swe otoczenie nietypowym, zarozumiałym stwierdzeniem na temat pogrzebu bogatego i szacownego dziedzica Brewstera, twórcy lokalnej historii, który zmarł w 1711 roku, a którego łupkowa płyta nagrobna z wizerunkiem czaszki i skrzyżowanych pischczeli z wolna obracała się w pył. W

przyplynie dziecięcej imaginacji gotów byłem przysiąc, że nie tylko przedsiębiorca pogrzebowy, Goodman Simpson, skradł przed pochówkiem buty o srebrnych sprzączkach. jedwabne pończochy i satynową bieliznę zmarłego, ale że sam dziedzic - niezupełnie, jak się wydawało, bez życia - w dzień po pogrzebie dwakroć obrócił się w swojej trumnie.

Nigdy wszakże nie opuściły mnie myśli o wdarciu się do wnętrza grobowca. Pragnienie to narosło we mnie jeszcze bardziej, gdy niespodziewanie odkryłem, że po kądzieli jestem poniekąd spokrewniony z wymarłym rodem Hyde'ów. Ostatni z mego rodu, po mieczu, byłem zarazem ostatnim członkiem tej dużo starszej i niezwyklej linii rodowej. Zacząłem czuć, że grobowiec był mój, i z niepokojem oczekiwać dnia, kiedy uda mi się sforsować kamienne odrzwia i zejść po omszałych kamiennych stopniach w mrok. Obecnie wyrobiłem w sobie nawyk baczego nasłuchiwania przy z lekka uchylonych drzwiach grobowca, prowadząc owe przedziwne czuwania pośród nocnej ciszy.

Zanim osiągnąłem dorosłość, wydeptałem w gąszczu wokół starego, wpuszczonego w ścianę kotliny grobowca niewielką polankę, pozwalając, by bujna roślinność utworzyła wokół i ponad nią jakby ściany i dach, niczym w leśnej altance.

Ta altanka była moją świątynią, zamknięte drzwi moim relikwiarzem i tu właśnie kładłem się na mchu, rozciągnięty wygodnie, by przemyśliwać rozmaite osobliwe sprawy i śnić jeszcze bardziej osobliwe sny.

Noc pierwszego objawienia była duszna i parna. Zmęczony, musiałem zasnąć, gdyż obudziłem się, jak mi się zdało, na dźwięk odległych głosów. Waham się mówić o ich tonach i akcentach, nie wspomnę tu również o ich wyrazistości, niemniej mogę rzec, iż wyczuwało się wyraźną różnicę w ich słownictwie, wymowie i sposobie artykulacji. Każdy cień nowoangielskiego dialektu, poczawszy od nieokreślonych sylab purytańskich kolonistów po precyzyjną retorykę sprzed półwiecza, zdawał się mieć swój odpowiednik wśród owych cieniowych, mrocznych oratorów, aczkolwiek z faktu tego zdałem sobie sprawę dopiero poniewczasie. W tym momencie bowiem uwagę mą odwrócił zupełnie inny fenomen, tak ulotny, że nie mogę przysiąc, iż wydarzył się naprawdę.

Ledwie zdałem sobie sprawę, że nie śpię, kiedy wewnątrz posępnego grobowca wygasło drobniutkie światełko. Nie sądzę, abym był zaskoczony ani tym bardziej ogarnięty paniką, wiem jednak, że tej nocy uległem olbrzymiej, całkowitej przemianie. Po powrocie do domu skierowałem się na poddasze, gdzie wewnątrz gnijącego kufra znalazłem klucz, za pomocą którego z łatwością sforsowałem barierę, którą do tej pory tak zaciekle i próżno szturmowałem.

W delikatnym świetle późnego popołudnia po raz pierwszy wkroczyłem do grobowca na zboczu opuszczonej kotliny. Byłem oczarowany, a moje serce szalało ze szczęścia, którego nie sposób opisać słowami. Gdy zamknąłem za sobą drzwi i szedłem po ociekających wodą, zawilgłych schodach, przyświecając sobie jedyną świecą, zdawało się, że znam doskonale drogę. I choć świeca o mało nie zgasła, sycąc się zatechłym powietrzem, w tym cuchnącym śmiercią i zgnilizną pomieszczeniu czułem się jak w domu. Rozglądając się wokoło, ujrzałem liczne marmurowe płyty z trumnami lub tym, co z nich pozostało. Niektóre z nich były zamknięte i nienaruszone, ale inne nieomal całkiem szczyły. Pozostały po nich jedynie srebrne klamki i płytki otoczone kopczykami białawego kurzu. Na jednej z płytek odczytałem imię sir Geoffreya Hyde'a, który przybył z Sussex w 1640 roku i zmarł tutaj w kilka lat później. W znamienitej niszy stała jedna doskonale zachowana i pusta trumna, ozdobiona imieniem, na widok którego uśmiechnąłem się mimowolnie i zadygotałem. Dziwny impuls nakazał mi wspiąć się na kamienną płytę, zgasić świecę i ułożyć się w pustej trumnie.

W szarym świetle świtu wyczołgałem się z grobowca i zamknąłem za sobą drzwi na łańcuch. Nie byłem już młodzieńcem, mimo zaledwie dwudziestu jeden zim, które zmroziły mą cielesną powłokę. Wstający z kurami wieśniacy, którzy mnie widzieli, patrzyli teraz na mnie dziwnym wzrokiem i zastanawiali się, cóż mogło przydarzyć się temu, którego dotąd uważali za spokojnego odludka, a który najwyraźniej wracał do domu po całonocnych hulankach i swawolach. Rodzicom pokazałem się dopiero po długim, dającym odświeżenie śnie.

Od tej pory odwiedzałem grobowiec każdej nocy; widziałem, słyszałem i czyniłem rzeczy, o których nie chcę tu nawet wspominać. Najpierw zmienił się mój sposób wysławiania, zawsze podatny na wpływy otoczenia. Wkrótce zaczęta również zwracać uwagę nabyta nie wiadomo kiedy archaizacja dykcji. Później w moim zachowaniu pojawiły się pierwsze oznaki zuchwałości braku rozwagi, aż koniec końców pomimo samotniczego życia stałem się prawdziwym światowcem. Język, dotąd sztywny i częstokroć milczący, nabrał łatwości wysławiania i gracji Chesterfiella oraz bezbożnego cynizmu Rochester'a. Zmieniłem się w wyjątkowego erudyte, a stronicę mych ksiąg pokryły tworzone niejako na marginesie epigramy przywodzące na myśl Gaya, Priora, a także najbardziej wesołe augustiańskie żarty oraz rymy. Któregoś ranka przy śniadaniu nieomal doprowadziłem do katastrofy, deklamując z wyraźnymi, płynnymi, osiemnastowiecznymi akcentami nieco swawolny utwór biesiadny, którego treść nigdy nie została zapisana, a który brzmiał mniej więcej tak:

*Pójdźcie tu, przyjaciele, wytoczcie beczkę piwa
Za dzień dzisiejszy pijmy, niech każdy poużywa
Niech na półmiskach waszych mięsiwa wzrośnie stos
A jadło i napitek rozchmurzą smętny los
Po brzegi kufle napelniemy
Bo ważne to jest, że żyjemy
Gdy przyjdzie śmierć, ni króla już, ni dziewczki zdrowia nie wzniesiemy!*

*Mówią, że Anakreon stary nos jak pomidor miał czerwony
Lecz cóż to znaczy, jeśli humor masz stale dobry; wręcz szalony
Boże, duszę mą weź, wołę czerwonym być
Niżli jak lilia białym i w ziemi smętnie gnić!
Betty, pójdź do mnie tu
Całuj, aż zabraknie tchu
Drugiej takiej nie znajdziesz nawet w Piekło, ech, tfu!*

*Młody Harry się chwieje, jak trząśnięty w łeb wół
Wkrótce zgubi peruka i się zwali pod stół
Dalej lejcie, bo w kuflach chyba dno widać już
Lepiej leżeć pod stołem, niżli w trumnie, no cóż
Bawmy się tedy i radujmy
Spragnione gardła wnet napójmy*

Życia używać, nim w ziemi zlec przyjdzie, się nie bójmy

*Do czarta tam, już płaczą mi się nogi
Język mi kołkiem stawa, kark sztywny mam i błogi
Dozwól no gospodarzu, niech Betty się przysiadzie
Duszy bratniej mi brak, a żony wszak ze mną tu dziś nie będzie
Racz mi rękę swa dać
Chciałbym spróbować wstać
Póki tchu w piersi stanie, życie garścią chcę brać!*

W tym czasie również ogarnął mnie trwający do dziś lęk przed burzami i ogniem. Wcześniej były mi one obojętne, teraz wszelako napełniają mnie niewypowiedzianą zgrozą. Kiedy tylko niebo zasnuwały burzowe chmury, chowałem się w możliwie najdalszym, najniższym położonym zakątku domu. Za dnia mą ulubioną enklawą były ruiny spalonej posesji, i fantazjując, częstokroć wyobrażałem sobie, jak musiała wyglądać w okresie swojej świetności. Pewnego razu wystraszyłem jednego z wieśniaków, prowadząc go potajemnie do niewielkiego piwnicznego pomieszczenia, o którego istnieniu wiedziałem, choć od wielu pokoleń było ono zapomniane i nie odwiedzane.

Wreszcie stało się to, czego się od dawna obawiałem. Moi rodzice, zaniepokojeni zmienionym zachowaniem i wyglądem ich jedyne go syna, postanowili śledzić me poczynania, co doprowadziło do katastrofy. Nie opowiedziałem nikomu o swoich wizytach w grobowcu, strzegąc mego sekretu od dzieciństwa z istic religijną żarliwością. Teraz jednak zmuszony byłem zachować wyjątkową ostrożność przy wędrówkach pośród labiryntu zalesionej kotliny, aby nie doprowadzić do swego sanktuarium potencjalnego prześladowcy. Klucz do grobowca nosiłem zawieszony na rzemyku na szyi, o jego istnieniu zaś nie wiedział nikt oprócz mnie. Nigdy nie wyniosłem z grobowca żadnej rzeczy, na jaką natknąłem się w jego wnętrzu.

Pewnego ranka, gdy wyszedłem z wilgotnego grobowca i drżącą dłonią założyłem łańcuch na odrzwia, ujrzałem wśród pobliskich krzewów przerażone oblicze śledzącego mnie mężczyzny. Niewątpliwie koniec był bliski; moja altana została odkryta, a cel nocnych wypraw zdemaskowany. Mężczyzna mnie nie zaczepił, toteż pospieszyłem do domu, by podsłuchać, o czym doniesie memu stroskanemu ojcu. Czy świat dowie się o mym pobycie za drzwiami starego grobowca? Wyobraźcie sobie moje rozkoszne zdumienie, kiedy usłyszałem, jak szpieg teatralnym szeptem mówił moim rodzicom, że spędziłem noc w altance przed grobowcem; moje zasnutę snem oczy padły na szczelinę w uchylonych, zablokowanych łańcuchem odrzwiach! Jakim cudem obserwator został tak zwiedziony? Byłem teraz przekonany, że chroniła mnie jakaś nadludzka moc. Rozzuchwalony takim obrotem spraw, zdecydowałem się nie ukrywać swych dalszych wizyt w grobowcu i niezwłocznie podjąłem je na nowo. Przez cały tydzień raczyłem się posępnymi przyjemnościami, o których nie zamierzam tu wspominać, kiedy to się wydarzyło i zostałem wtrącony do tego przeklętego przybytku smutku i monotonii.

Nie powinienem był wyruszać tej nocy, chmury zdawały się zwiastować burzę, a z cuchnących moczarów na dnie kotliny podniosła się piekielna fosforescencja. Zew umarłych również był nieco inny. Miast grobowca w kotlinie, była to naruszona ogniem piwnica na szczycie zbocza, gdzie rezydujący demon przywoływał mnie, kiwając niewidocznymi palcami. Kiedy wyłoniłem się z zagajnika, na równinie pod ruinami ujrzałem w nieco rozmytym przez mgłę blasku księżycy coś, czego zawsze w głębi serca oczekiwałem. Rezydencja, nie istniejąca od stu lat, ukazała się mym oczom w całej swej okazałości. Każde z okien roztaczało blask płonących wewnątrz komnat dziesiątków świec.

W górę długiego podjazdu sunęły powozy bostońskiej szlachty, podczas gdy pieszo nadchodzili ku niej upudrowani notable z pobliskich posiadłości. Wmieszałem się w ten tłum, choć wiedziałem, że należę bardziej do gospodarzy aniżeli do gości. Wewnątrz budynku królowały muzyka i śmiech, wino lało się strumieniami.

Rozpoznałem kilka twarzy, choć ostatnio, gdy je widziałem, były pomarszczone, nadgnite i nadzarte przez nieubłagany rozkład. Pośród dzikiego, rozszalałego tłumu ja byłem najbardziej niespokojny i najbardziej osamotniony. Radosne bluźnierstwa potoczyście płynęły z mych ust, a w ciętych słowach nie oszczędzałem żadnych praw, czy to naturalnych, ludzkich, czy też boskich.

Wtem potężny grzmot zagłuszył odgłosy bezecnej biesiady. rozłupując dach i uciszając bluźnierczą hałastę.

Czerwone jęzory ognia i palący żar otoczyły całe domostwo. Biesiadnicy przerażeni niechybną zgubą, która zdawała się przeniknąć granice niezmierzonej natury, z przeraźliwym wrzaskiem umknęli w noc. Pozostałem sam, przykuty do mego siedziska dojmującym lękiem, jakiego nigdy dotąd nie odczuwałem. I wtedy drugi koszmar przepełnił moją duszę - nowa groza, równie silna jak poprzednia. Spalony na popiół, moje ciało rozwiane na cztery wiatry, mogę nigdy nie spocząć w grobowcu Hyde'ów! Czyżby nie było tam dla mnie przygotowanej trumny? Czyż nie miałem prawa spocząć na wieczność wśród potomków sir Geoffreva Hyde'a? Tak! Odzyskam mą spuściznę śmierci, nawet gdyby moja dusza miała błąkać się przez stulecia, by odnaleźć drugą cielesną powłokę, która ostatecznie zajmie należne jej miejsce na pustej płycie w komorze grobowca. Jervas Hyde nigdy nie podzieli smętnego losu Palinurusa!

Kiedy widmo płonącego domu rozwiało się, ocknąłem się, wrzeszczący i zajadle walczący w ramionach dwóch mężczyzn, z których jeden był szpiegiem śledzącym mnie podówczas, przy grobowcu. Deszcz lał jak z cebra, a na horyzoncie od południa niebo przecinały błyskawice, które jeszcze tak niedawno jaśniały nad naszymi głowami. Mój ojciec, z twarzą przepełnioną smutkiem, stał nieopodal, słuchając, jak wykrzykiwałem doń swe żądania, by złożono moje ciało wewnątrz grobowca, i raz po raz napominał dwóch osiłków, by obchodzili się ze mną możliwie najłagodniej. Poczerniały krąg na podłodze piwnicy, wewnątrz ruin, był świadectwem niedawnego uderzenia pioruna. Z tego miejsca grupka ciekawskich wieśniaków z latarniami wyłuskała niewielką skrzynkę, wyrób z wyglądu dość stary, który niebiański grom wydobył na światło dzienne.

Porzuciwszy próżną i bezcelową obecnie szarpaninę, obserwowałem gapiów oglądających z niewypowiedzianym zdumieniem osobliwą skrzyneczkę. Pozwolono mi być świadkiem jej otwarcia. Skrzynka, której zamknięcia zostały zniszczone przez ten sam piorun, który wydobył ją z ukrycia, zawierała wiele dokumentów i cennych przedmiotów, ja jednak miałem wzrok utkwiony w jednej tylko rzeczy. Była to porcelanowa miniatura młodzieńca w upudrowanej peruczce, nosząca inicjały J.H. Oblicze było tak podobne, jakbym przeglądał się w lustrze.

Następnego dnia przyprowadzono mnie do tego pokoju, z kratami w oknach, niemniej informacji o niektórych sprawach udzielał mi na bieżąco pewien stary, prostoduszny sługa, którego miłowałem jeszcze od dzieciństwa i który podobnie jak ja uwielbia tereny przykościelne oraz cmentarze. To, co odważyłem się opowiedzieć na temat swych doznań w grobowcu, wzbudziło jedynie uśmiechy politowania. Ojciec, który często mnie odwiedza, twierdzi, że nigdy nie udało mi się pokonać strzeżonego łańcuchem wejścia, i przysięga, że zardzewiała kłódka, którą starannie obejrzał, nie była otwierana od dobrych pięćdziesięciu lat. Dodaje przy tym, że wszyscy wieśniacy wiedzieli o mych wyprawach do grobowca i że gdy często widywano mnie śpiącego w zagajniku, przed wejściem do posępnego przybytku, moje na wpół przymknięte oczy utkwione były w szczelinie prowadzącej do jego wnętrza. Nie dysponuję dowodami na obalenie jego twierdzeń, jako że mój klucz do kłódki przypadł gdzieś podczas samotnianiny, która zaszła owej upiornej nocy. Niezwykłe informacje z przeszłości, które uzyskałem podczas mych nocnych spotkań z umarłymi, uznaje się za owoce mych czasochłonnych i żmudnych badań, długotrwałego ślęczenia wśród prastarych ksiąg rodzinnej biblioteki.

Gdyby nie mój stary sługa, Hiram, do tej pory uwierzyłbym już we własne szaleństwo.

Hiram jednak, lojalny do samego końca, wciąż we mnie wierzy i przekonał mnie, bym wyjawiał publicznie przynajmniej część swojej opowieści. Tydzień temu rozbił kłódkę przytrzymującą łańcuch uchylonych drzwi do grobowca i z latarnią w dłoni zszedł w jego mroczną czeluść.

Na kamiennej płycie w jednej z nisz odkrył starą, lecz pustą trumnę z zaśnieżoną tabliczką i wrytym na niej jednym tylko słowem: Jervas.

Obiecano mi, że zostanę pochowany w tym grobowcu, w tej właśnie trumnie.

Autor: Howard Phillips Lovecraft

[Początek]